

Kevin Mitnick

Steve Wozniak // William L. Simon

DUCH W SIECI

MOJE PRZYGODY JAKO NAJBARDZIEJ
POSZUKIWANEGO HAKERA WSZECH CZASÓW

Helion

Tytuł oryginału: Ghost in the Wires: My Adventures as the World's Most Wanted Hacker

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-9240-3

Copyright © 2011 by Kevin Mitnick
Foreword copyright © 2011 by Steve Wozniak

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, distributed, or transmitted in any form or by any means, or stored in a database or retrieval system, without the prior written permission of the publisher.

Little, Brown and Company is a division of Hachette Book Group, Inc. The Little, Brown name and logo are trademarks of Hachette Book Group, Inc.

Polish edition copyright © 2019, 2022 by Helion S.A.
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: helion@helion.pl
WWW: <https://helion.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<https://helion.pl/user/opinie/duchsv>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
Prolog	9

Część I. Narodziny hakera

Rozdział 1. Trudne początki	15
Rozdział 2. My tylko oglądamy	21
Rozdział 3. Pierwsza krew	35
Rozdział 4. Sztuka wymykania się	51
Rozdział 5. Wszystkie wasze linie telefoniczne należą do mnie	61
Rozdział 6. Z miłości do hakowania	71
Rozdział 7. Pospiesznie poślubieni	81
Rozdział 8. Lex Luthor	91
Rozdział 9. Peleryna niewidzialności Kevina Mitnicka	113
Rozdział 10. Tajemniczy haker	121

Część II. Eric

Rozdział 11. Cios poniżej pasa	129
Rozdział 12. Nie ukryjesz się przede mną	135
Rozdział 13. Podśluchiwacz	145
Rozdział 14. Jak ty komu, tak on tobie	151
Rozdział 15. „Skąd wy to, kurwa, macie?”	163
Rozdział 16. Możemy wejść?	169

Rozdział 17. Jeszcze więcej tajemnic	173
Rozdział 18. Analiza ruchu sieciowego	183
Rozdział 19. Odkrycia	189
Rozdział 20. Cios z zaskoczenia	195
Rozdział 21. Kotek i myszka	201
Rozdział 22. Praca detektywistyczna	209
Rozdział 23. Nalot	221
Rozdział 24. Znikający punkt	229

Część III. Ścigany

Rozdział 25. Harry Houdini	241
Rozdział 26. Prywatny detektyw	251
Rozdział 27. Beztroskie dni	263
Rozdział 28. Łowca trofeów	275
Rozdział 29. Wyjazd	291
Rozdział 30. Przykra niespodzianka	307
Rozdział 31. Uwaga na niebo	315
Rozdział 32. Bezsenna noc w Seattle	331

Część IV. Koniec i początek

Rozdział 33. Hakowanie samuraja	347
Rozdział 34. Ucieczka na pas biblijny	355
Rozdział 35. Game over	371
Rozdział 36. Walentynki z FBI	379
Rozdział 37. Kozioł ofiarny	387
Rozdział 38. Epilog: odwrócenie losu	409
Podziękowania	419
Skorowidz	426

ROZDZIAŁ 2.

My tylko oglądamy

Wbth lal voe htat oy voe wxbirtn vfbqt wagye C poh aeovsn vojgav?

Nawet niezbyt religijne rodziny żydowskie często chcą urządzić synom bar micwę i moja rodzina także należała do tej kategorii. Oznaczało to między innymi, że musiałem stanąć przed kongregacją i odczytać fragment zwoju Tory — po hebrajsku. Oczywiście w hebrajskim używa się zupełnie innego alfabetu, שׁ, ך, ן i tym podobnych znaków, a opanowanie tej umiejętności mogło zająć nawet kilka miesięcy.

Byłem zapisany na lekcje hebrajskiego w Sherman Oaks, ale wyrzucono mnie za obijanie się. Mama znalazła kantora, który udzielał mi indywidualnych korepetycji, żebym nie mógł czytać pod ławką podręczników technologicznych. Udało mi się nauczyć na tyle, żeby przebrnąć przez uroczystość. Przeczytałem swój fragment na głos przed zgromadzeniem bez większych zająknięć i nie narobiłem sobie wstydu.

Po wszystkim rodzice skarcili mnie za naśladowanie akcentu i gestów rabina. Ale ja robiłem to nieświadomie. Później dowiedziałem się, że to bardzo skuteczna technika, bo ludzi ciągnie do osób, które są do nich podobne. I tak w bardzo młodym wieku, kompletnie nieświadomie, praktykowałem coś, co dziś nazywa się socjotechniką — przypadkowym lub wykalkulowanym manipulowaniem ludźmi, aby skłonić ich do zrobienia czegoś, czego normalnie by nie zrobili. I to bez wzbudzania nawet cienia podejrzeń.

Zwyczajowy deszcz prezentów od krewnych i osób, które zjawily się na przyjęciu w restauracji Odyssey po uroczystości bar micwy, składał się między innymi z licznych obligacji skarbowych USA — łącznie dały mi one zaskakująco dużą sumkę.

Jako zapalony czytelnik o specyficznych zainteresowaniach trafiłem w miejsce o nazwie Survival Bookstore w północnym Hollywood. Była to niewielka księgarnia w obskurnej okolicy, prowadzona przez przyjacielską blondynkę w średnim wieku, która kazała mi mówić do siebie po imieniu. Czułem się tam tak, jakbym znalazł piracką skrzynię skarbów. W tamtym czasie imponowali mi Bruce Lee, Houdini i Jim Rockford, grany przez Jamesa Garnera w *Rockford Files* superfajny prywatny detektyw, który potrafił otwierać zamki, manipulować ludźmi i błyskawicznie wcielić się w kogoś innego. Marzyłem o tym, by robić takie fajne triki jak on.

W Survival Bookstore znalazłem książki, które opisywały te wszystkie triki i wiele innych. Począwszy od trzynastego roku życia spędziłem tam bardzo wiele weekendów. Całymi dniami czytałem książkę za książką, w tym takie pozycje jak *The Paper Trip* Barry’ego Reida, który wyjaśniał, jak stworzyć nową tożsamość przy użyciu aktu urodzenia zmarłej osoby.

Moją biblią stało się dzieło zatytułowane *The Big Brother Game* Scotta Frencha. Było naszpikowane szczegółowymi opisami sposobów zdobywania danych o właścicielach aut, aktów własności, raportów kredytowych, informacji bankowych, zastrzeżonych numerów, a nawet informacji z archiwów policyjnych. (Gdy wiele lat później French pisał kolejny tom, zadzwonił do mnie, by spytać, czy mam ochotę napisać rozdział o socjotechnice w kontaktach z firmami telekomunikacyjnymi. Wtedy akurat razem ze swoim współpracownikiem przygotowywałem naszą drugą książkę, *Sztukę infiltracji*, i byłem zbyt zajęty, by przyjąć ofertę Frencha, chociaż rozbawił mnie ten zbieg okoliczności, a jego propozycja mi schlebiła).

W księgarni roiło się od „podziemnych” pozycji uczących umiejętności, których nie powinno się posiadać. Było to dla mnie niezmiernie nęcące, jako że od zawsze czułem pokusę zdobywania wiedzy z „zakazanej jabłoni”. Chłonałem tę wiedzę, która okazała się bezcenna niespełna dwie dekady później, gdy mnie ścigano.

Z towarów oferowanych w księgarni interesowały mnie nie tylko książki, lecz także narzędzia do otwierania zamków. Kupiłem kilka różnych wytrychów. Znacie ten żart: „Jak dostać się do Carnegie Hall? Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i ćwiczyć”? To właśnie robiłem z zamkami. Od czasu do czasu wybierałem się do piwnic lokatorskich w garażach pod naszym blokiem, gdzie otwierałem kilka kłódek, zamieniałem je miejscami i zamykałem. W tamtym czasie uważałem to za świetny żart, chociaż z dzisiejszej perspektywy sędzę, że musiałem poważnie wkurzyć tych ludzi. Napytałem im sporej biedy i zmusiłem

do zakupu nowej kłódki, gdy udało im się już usunąć starą. Cóż, takie numery wydają się zabawne tylko wtedy, gdy jest się nastolatkiem.

Pewnego dnia, w wieku około czternastu lat, byłem na mieście z wujkiem Mitchellem, którego uważałem wtedy za swojego idola. Weszliśmy do działu komunikacji i zorientowaliśmy się, że jest tam pełno ludzi. Wujek kazał mi zaczekać, a sam podszedł do okienka — ot tak, ignorując wszystkich stojących w kolejce. Urzędniczka ze znużoną miną spojrzała na niego z zaskoczeniem, a on zaczął mówić, nie czekając, aż ona skończy obsługiwać interesanta. Po kilku słowach wujka urzędniczka przytaknęła, gestem odprawiła obsługiwaną osobę i zajęła się sprawą wujka Mitchella. Wujek miał wyjątkowy talent do postępowania z ludźmi.

Ja najwyraźniej też go miałem. Wtedy po raz pierwszy świadomie zarejestrowałem wykorzystanie socjotechniki.

Jak postrzegano mnie w Monroe High School? Nauczyciele powiedzieliby, że zawsze robiłem coś nieprzewidywalnego. Gdy inni uczniowie zajmowali się naprawą telewizorów w szkolnym warsztacie, ja poszedłem w ślady Steve'a Jobsa i Steve'a Wozniaka i skonstruowałem blue box — urządzenie, które umożliwiało manipulowanie siecią telefoniczną, a nawet wykonywanie darmowych rozmów. Poza tym zawsze zabierałem do szkoły swoją krótkofalówkę i rozmawiałem przez nią podczas lunchu i w trakcie przerw.

Jeden z uczniów zmienił moje życie. Steven Shalita był aroganckim gościem, który udawał tajniaka z policji — jego samochód był usiany antenami radiowymi. Steven z lubością pokazywał swoje triki z telefonem, a miał ich w zanadrzu całkiem sporo. Zademonstrował na przykład, że nie musi ujawniać swojego numeru, żeby można było do niego zadzwonić, gdy korzysta z testowej linii zwanej loop-around (pętla). Dzwonił na jeden z numerów pętli testowej, druga osoba dzwoniła na inny numer pętli testowej i obie rozmowy zostawały w magiczny sposób połączone. Potrafił też zdobyć imię i nazwisko oraz adres przypisane do dowolnego numeru, nawet zastrzeżonego, dzwoniąc do biura numerów firmy telekomunikacyjnej. Wystarczyła jedna rozmowa i miał zastrzeżony numer mojej mamy. Łał! Mógł zdobyć numer i adres każdej osoby, nawet gwiazdy filmowej z zastrzeżonymi danymi. Wyglądało to tak, jakby pracownicy telekomunikacji tylko czekali na okazję, by mu pomóc.

Zafascynowało mnie to i zaintrygowało. Natychmiast stałem się jego towarzyszem, chcąc nauczyć się tych wszystkich niewiarygodnych sztuczek. Ale Steven był zainteresowany wyłącznie pokazywaniem mi, co potrafił, a nie wyjaśnianiem, *jak* to robił — w jaki sposób wykorzystywał swoje umiejętności socjotechniczne w stosunku do ludzi, z którymi rozmawiał.

Wkrótce podłapałem wszystko, czym był skłonny się podzielić na temat phreakingu (łamania zabezpieczeń sieci telefonicznych), a większość wolnego czasu spędzałem na zgłębianiu tajników sieci telekomunikacyjnych i uczeniu się na własną rękę, przez co odkrywałem rzeczy, o których Steven nie wiedział. Phreakerzy tworzyli własną grupę społeczną. Zacząłem poznawać inne osoby o podobnych zainteresowaniach i wybierać się na ich spotkania, mimo że niektórzy „freakerzy” byli dosłownie „freakami” — niedostosowanymi społecznie dziwakami („freak” to po angielsku dziwak).

Ja zdawałem się stworzony do socjotechnicznej części phreakingu. Jak myślisz, czy potrafiłem przekonać pracownika technicznego firmy telekomunikacyjnej, żeby pojechał do tzw. CO („central office” — lokalnej centrali telefonicznej, która przekierowywała rozmowy przychodzące i wychodzące) i podłączył „krytyczną” linię, bo myślał, że jestem pracownikiem innego CO lub monterem w terenie? Bez trudu. Wiedziałem, że mam talent w tej dziedzinie, ale dopiero Steven, kolega ze szkoły, pokazał mi potęgę drzemającą w tych umiejętnościach.

Podstawowa taktyka jest prosta. Przed rozpoczęciem socjotechnicznego polowania na określony cel wykonujesz rekonesans i zbierasz informacje o firmie. Musisz wiedzieć, jak operuje dany dział lub dana firma, jaką ma funkcję, do jakich informacji pracownicy mają dostęp, jaka jest standardowa procedura proszenia o coś i od kogo zwykle otrzymują oni prośby oraz jakie warunki trzeba spełnić, aby informacje zostały przekazane. Poza tym trzeba poznać firmowy żargon oraz stosowaną terminologię.

Socjotechniczne triki działają, bo ludzie zwyczajnie ufają każdemu, kto uzyska w ich oczach wiarygodność, na przykład innemu uprawnionemu pracownikowi firmy. Po to właśnie robi się zwiad. Gdy już przygotowałem się do zdobycia zastrzeżonych numerów, zadzwoniłem do biura jednego z przedstawicieli firmy telekomunikacyjnej i powiedziałem:

— Z tej strony Jake Roberts z Biura Numerów Zastrzeżonych. Chciałbym rozmawiać z pana przełożonym.

Po przełączeniu do kierowniczkę przedstawiłem się ponownie i spytałem:

— Dostaliście naszą informację o zmianie numeru?

Kierowniczkę poszła sprawdzić, wróciła i odparła:

— Nie, nie dostaliśmy.

— Powinniście używać numeru 213 687-9962.

— Nie — stwierdziła. — Używamy numeru 213 320-0055.

Bingo!

— Okej — odparłem. — Wyślemy notkę służbową o zmianie na drugi szczebel. — To w żargonie firmy oznaczało menedżera. — Dopóki tam nie dotrze, używajcie nadal numeru 320-0055.

Gdy jednak zadzwoniłem do Biura Numerów Zastrzeżonych, okazało się, że abym mógł dostać jakiegokolwiek informacje o klientach, moje nazwisko musi widnieć na liście autoryzowanych osób wraz z podanym numerem zwrotnym. Nowicjusz lub niewprawny socjotechnik mógłby się w tym momencie rozłączyć. Błąd. To wzbudziłoby podejrzenia.

Improwizując na poczekaniu, wyjaśniłem: — Mój menedżer mówił, że wpisze mnie na listę. Muszę mu powiedzieć, że nie dostaliście jeszcze notki służbowej.

Kolejna przeszkoda: musiałem jakimś cudem podać numer wewnętrzny firmy telekomunikacyjnej, na którym mógłbym odbierać rozmowy!

Dopiero po obdzwonieniu trzech innych biur przedstawicielskich znalazłem takie, w którym drugi szczebel był mężczyzną, czyli kimś, pod kogo mogłem się podszyć. — Z tej strony Tom Hansen z Biura Numerów Zastrzeżonych — powiedziałem. — Aktualizujemy listę autoryzowanych pracowników. Czy nadal powinien się pan na niej znajdować?

Oczywiście, że potwierdził.

Poprosiłem go więc o przeliterowanie imienia i nazwiska oraz podanie swojego numeru telefonu. Jakbym zabierał cukierek dziecku.

Następnie zadzwoniłem do RCMAC — biura autoryzacji najnowszych zmian, które zajmowało się usługami telekomunikacyjnymi w rodzaju niestandardowego wybierania numerów. Udałem przełożonego z biura firmy. Bez trudu przekonałem pracownika, by dodał do linii menedżera przekierowanie, gdyż numer należał do Pacific Telephone.

Dokładnie rzecz biorąc, wyglądało to tak: zadzwoniłem do technicznego w odpowiedniej centrali. Przekonany, że jestem monterem w terenie, podłączył się do linii menedżera i wybrał cyfry, które mu podałem, przekierowując telefon menedżera do „pętli” w tej centrali. Pętla to specjalna linia, która ma przyporządkowane dwa numery. Gdy dwie strony wybiorą swoje numery i dodzwonią się do pętli, zostaną magicznie połączone, zupełnie jakby dzwoniły bezpośrednio do siebie nawzajem.

Zadzwoniłem na pętlę, przez co numer stał się aktywny. W ten sposób, gdy Biuro Numerów Zastrzeżonych oddzwoniło do menedżera, rozmowa została przekierowana na pętlę i dzwoniący usłyszał sygnał. Poczekałem kilka sygnałów i odebrałem ze słowami: — Pacific Telephone, Steve Kaplan.

W tym momencie rozmówca udzielił mi wszelkich zastrzeżonych informacji, o jakie poprosiłem. Następnie oddzwoniłem do tego samego technicznego i poprosiłem o dezaktywację przekierowania.

Im większe wyzwanie, tym większy dreszcz emocji. Ten trik sprawdzał się przez wiele lat i być może działa do dzisiaj!

Po kilku takich rozłożonych w czasie akcjach — bo podejrzane byłoby wypytywanie Biura Numerów Zastrzeżonych o numery kilku celebrytów z rzędu — zdobyłem numery i adresy Rogera Moore’a, Lucille Ball, Jamesa Garnera, Bruce’a Springsteena i paru innych osób. Czasem dzwoniłem i gdy odbierał celebryta, mówiłem coś w rodzaju: „Hej, Bruce, co tam?”. Było to nieszkodliwe, ale ekscytowało mnie, że potrafię zdobyć numer do każdej osoby, do jakiej chciałem.

W Monroe High prowadzono kurs komputerowy. Nie miałem ukończonych wymaganych kursów z matematyki i innych przedmiotów ścisłych, ale nauczyciel, pan Christ (wymawiane jako rym z „twist”), dostrzegł, jak wiele nauczyłem się na własną rękę i mnie przyjął. Sądzę, że z czasem pożałował swojej decyzji, bo byłem łobuzem. Zdobywałem hasło do szkolnego mini-komputera za każdym razem, gdy je zmieniał. Chcąc mnie przechytrzyć, w desperacji wybijał je na taśmie komputerowej, której używano do zapisywania danych przed pojawieniem się dyskietek. I tę taśmę wkładał do czytnika, gdy chciał się zalogować. Trzymał ją jednak w kieszeni koszuli i przez cienki materiał widać było dziurki. Paru kolegów pomagało mi w rozszyfrowaniu układu i rozgryzaniu jego hasła za każdym razem, gdy je zmienił. Nigdy nie odkrył mojej metody.

W pracowni komputerowej był też telefon, taki starej daty, z obrotową tarczą. Zaprogramowano go tak, by dało się z niego dzwonić wyłącznie na numery w obrębie szkolnego dystryktu. Używałem go jednak do łączenia się z komputerami USC, żeby grać w gry komputerowe. Mówiłem operatorowi: „Z tej strony Christ, potrzebuję wyjścia na zewnątrz”. Po kilku rozmowach operator nabrał podejrzeń, więc przerzuciłem się na taktykę phreakerską. Zadzwoeniłem do firmy telekomunikacyjnej i wyłączyłem ograniczenie, dzięki czemu mogłem łączyć się z USC, gdy tylko zechciałem. W końcu pan Christ zorientował się, że potrafię wykonywać połączenia zewnętrzne.

Ogłosił z dumą przed całą klasą, że na zawsze ukróci ten mój proceder, i zademonstrował specjalną blokadę na telefony z tarczą. Założył ją na jedynkę, tym samym uniemożliwiając użycie tarczy.

Gdy tylko skończył, na oczach całej klasy podniosłem słuchawkę i stukając szybko w widełki, wybrałem numer: dziewięć stuknięć na dziewiątkę, by uzyskać połączenie zewnętrzne, potem siedem stuknięć na siódmkę, cztery na czwórkę i tak dalej. Po niespełna minucie byłem połączony z USC.

Dla mnie było to tylko wyzwanie dla umysłu, ale biedny pan Christ poczuł się poniżony. Z purpurową twarzą chwycił telefon i *cisnął* nim o podłogę.

W tym samym czasie uczyłem się o RSTS/E (wymawiane jako „ristisi”), systemie operacyjnym stworzonym przez Digital Equipment Corporation (DEC), który wykorzystywano w szkolnym minikomputerze w centrum Los Angeles. Nieodległy kampus Cal State w Northridge także miał w komputerach system RSTS/E. Umówiłem się na spotkanie z szefem Wydziału Informatyki Wesem Hamptonem i powiedziałem:

— Fascynuje mnie wiedza o komputerach. Czy mógłbym wykupić konto i korzystać z waszych komputerów?

— Nie, one są tylko dla naszych studentów.

Ale ja nigdy nie poddawałem się bez walki.

— W mojej szkole pracownię komputerową zamyka się po zakończeniu lekcji, o piętnastej. Może moglibyście też tak dostosować plan zajęć, by uczniowie informatyki ze szkoły średniej mogli uczyć się na waszych komputerach?

Odprawił mnie z kwitkiem, ale niedługo potem do mnie zadzwonił. — Postanowiliśmy, że pozwolimy ci korzystać z naszych komputerów — stwierdził. — Nie możemy założyć ci konta, gdyż nie jesteś studentem, więc postanowiłem, że będziesz korzystać z mojego. Nazwa to „5,4”, a hasło to „Wes”.

Ten koleś był szefem Wydziału Informatyki i jego wyobrażenie o bezpiecznym hasle sprowadzało się do podania własnego imienia? Cóż za wyobraźnia!

Zacząłem samodzielnie uczyć się języków programowania Fortian i Basic. Po kilku tygodniach zajęć komputerowych napisałem program do wykradania haseł użytkowników. Logujący się studenci widzieli coś, co wyglądało na typową stronę logowania, lecz w rzeczywistości było moim programem, udającym system operacyjny, żeby skłonić ich do podania swoich nazw kont i haseł (było to coś podobnego do dzisiejszych ataków phishingowych). Co ciekawe, jeden z dyżurnych CSUN pomógł mi w debugowaniu kodu — w jego oczach to, że uczeń ze szkoły średniej znalazł sposób na zwęddzenie haseł, było niezłym figlem. Gdy tylko mój programik został uruchomiony na terminalach sali komputerowej, nazwa użytkownika i hasło każdego logującego się studenta były po kryjomu zapisywane w pliku.

Po co? Razem ze znajomymi uważałem, że fajnie byłoby zdobyć hasła wszystkich studentów. Nie mieliśmy żadnego złowieszczonego planu, zbieraliśmy informacje dla samego zbierania. I tyle. Było to jedno z wyzwań, jakie bez przerwy sobie znajdowałem od momentu, gdy zobaczyłem pierwszą sztuczkę magiczną. Czy jestem w stanie nauczyć się takich sztuczek? Czy jestem w stanie opanować wprowadzanie ludzi w błąd? Czy jestem w stanie zdobyć uprawnienia, jakich nie powinienem mieć?

Jakiś czas później jeden z dyżurnych doniósł na mnie administratorowi systemu. Nim się zorientowałem, do sali komputerowej wparowało trzech policjantów z kampusu. Zostałem zatrzymany do przybycia mojej mamy.

Szef wydziału, który pozwolił mi korzystać z komputerów i logować się na jego konto, był wściekły. Niewiele jednak mógł zrobić, bo w tamtych czasach nie uchwalono jeszcze przepisów dotyczących komputerów i nie było mnie o co oskarżyć. Odebrano mi jednak przywileje i nakazano trzymać się z dala od kampusu.

Mamie powiedziano: „W przyszłym miesiącu wejdzie w Kalifornii nowe prawo i to, co zrobił Kevin, stanie się przestępstwem”. (Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił prawo dotyczące przestępstw informatycznych dopiero cztery lata później, ale to między innymi litania moich dokonań przekonała kongresmenów do przyjęcia ustawy).

Groźby w żaden sposób mnie nie zniechęciły. Niedługo potem znalazłem sposób na przekierowanie połączeń z informacją telefoniczną od ludzi z Rhode Island i wszystkie rozmowy trafiały do mnie. Jak podroczyć się z osobami, które próbują zdobyć numer telefonu? Typowa konwersacja wyglądała na przykład tak:

Ja: O jakie miasto chodzi?

Dzwoniący: Providence.

Ja: Poproszę o nazwisko.

Dzwoniący: John Norton.

Ja: To firma czy numer prywatny?

Dzwoniący: Numer prywatny.

Ja: Okej, numer to 8, 3, 6, 5 i pół, 6, 6.

W tym momencie rozmówca wpadał w konsternację lub w oburzenie.

Dzwoniący: Jak mam wybrać pięć i pół?

Ja: Proszę zakupić nowy telefon, który ma możliwość wybierania połówek.

Reakcje ludzi były naprawdę zabawne.

W tamtych latach obszar Los Angeles był podzielony między dwie firmy telekomunikacyjne. General Telephone and Electronics Corporation (GTE) obsługiwało północną część San Fernando Valley, gdzie mieszkałem, a każda rozmowa powyżej dwudziestu mil od nas była liczona jako międzymiastowa. Rzecz jasna nie chciałem nabijać mamie rachunku telefonicznego, więc niektóre rozmowy wykonywałem z wykorzystaniem funkcji autopatch w krótkofalówce.

Pewnego dnia wdałem się w eterze w kłótnię z operatorem przemiennika¹ o wykonywane przeze mnie „dziwne rozmowy”, jak to określił. Operator zauważył, że gdy korzystam z autopatcha, regularnie wysyłam długie serie cyfr. Nie miałem zamiaru zdradzać, że wprowadzane przeze mnie cyfry umożliwiają wykonywanie darmowych rozmów międzymiastowych za pośrednictwem firmy zwanej MCI. Nie miał pojęcia, dlaczego to robiłem, ale nie podobało mu się wykorzystywanie autopatcha w nietypowy sposób. Przysłuchiwał się nam pewien koleś, który skontaktował się ze mną przez radio po kłótni. Przedstawił się jako Lewis De Payne i dał mi swój numer telefonu. Zadzwoeniłem do niego jeszcze tego samego wieczoru. Stwierdził, że zaintrygowałem go tym, co robiłem.

Spotkaliśmy się i przypadliśmy sobie do gustu, a nasza przyjaźń przetrwała dwie dekady. Lewis miał argentyńskie korzenie i wyglądał jak typowy wychudzony kujon — krótko ostrzyżone czarne włosy zaczesane na żelu do tyłu i wąsy, dzięki którym prawdopodobnie chciał uchodzić za starszego. Z czasem przekonałem się, że w kwestii przedsięwzięć hakerskich mogę mu ufać jak rodzonemu bratu, mimo że miał pełną sprzeczności osobowość. Był uprzejmy, ale zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Frajerski w swoich niemodnych golfach i dzwonach, ale obdarzony umiejętnościami socjalnymi. Niepozorny, lecz arogancki.

Połączyło nas też podobne poczucie humoru. Myślę, że jeśli hobby nie daje Ci od czasu do czasu okazji do śmiechu, przypuszczalnie nie jest warte zajmowania się nim. Lewis i ja nadawaliśmy na tych samych falach. Weźmy takie „zhakowanie McDonalda”. Udało nam się tak zmodyfikować radio nadającego w paśmie dwóch metrów, żeby nasz głos był słyszalny w głośniku, do którego klienci składali zamówienia w drive-in tego fast foodu. Przyjeżdżaliśmy do McDonalda, parkowaliśmy w pobliżu, żeby móc obserwować akcję bez ujawniania się, i dostrajaliśmy ręczny nadajnik na częstotliwość ich systemu.

¹ Przemienник (ang. *repeater*) — urządzenie służące do powielania i wzmacniania słabego sygnału krótkofalówki, aby miała większy zasięg — *przyp. tłum.*

Gdy zjawił się radiowóz i podjechał do głośnika, ja lub Lewis obwieszczaaliśmy: — Przykro mi, nie obsługujemy tu glin. Jedźcie sobie do Jack in the Box.

Raz powiedziałem do pewnej kobiety: „Pokaż mi cycki, a dostaniesz Big Maca za darmo!”. Nie przyjęła tego zbyt dobrze. Wysiadła z auta, wyciągnęła coś z bagażnika i wparowała do McDonalda... z kijem baseballowym.

Jednym z moich ulubionych żartów był „darmowy sok jabłkowy”. Gdy klient złożył zamówienie, wyjaśnialiśmy mu, że zepsuła się maszyna do lodu i dlatego każdy klient otrzymuje darmowy sok. Mówiliśmy: — Mamy grejpfrutowy, pomarańczowy i... Oj, przepraszam, jednak nie mamy ani grapefruitowego, ani pomarańczowego. Może być jabłkowy?

Gdy klient się zgadzał, odtwarzaliśmy nagranie sikania do kubka, po czym mówiliśmy: — Okej, pański sok jest gotowy. Proszę podjechać do okienka, żeby go odebrać.

Uważaliśmy też za zabawne wytrącanie ludzi z równowagi przez unie możliwienie składania zamówień. Podłączeni do systemu wysłuchiwalismy zamówienia klienta, po czym nasz znajomy je powtarzał, lecz z tak silnym hinduskim akcentem, że nie dało się wychwycić ani słowa. Klient stwierdzał, że nic nie rozumie, więc kolega mówił coś innego, równie niezrozumiale. I tak bez końca, doprowadzaliśmy do wściekłości klienta za klientem.

Najlepsze, że wszystko, co mówiliśmy, było słycać także przez głośnik na zewnątrz lokalu, ale pracownicy nie potrafili temu zaradzić. Czasem widzieliśmy, jak siedzący na zewnątrz klienci krztusili się ze śmiechu nad swoimi burgerami. Nikt nie umiał rozgryźć, o co chodzi.

Raz menedżer wyszedł, żeby poszukać sprawcy tego zamieszania. Drapiąc się po głowie, rozejrzał się po parkingu. Ale wokoło było pusto. W samochodach nikt nie siedział. Nikt nie ukrywał się za szyldem. Podeszedł do głośnika i nachylił się, mrużąc powieki, jakby próbował dostrzec ukrywającego się wewnątrz krasnoludka.

— *Na co się, kurwa, gapisz?* — wrzasnąłem ochrypłym głosem.

Odkoczył do tyłu chyba na dwa metry!

Czasem, gdy robiliśmy te dowcipy, mieszkający wokoło ludzie wychodzili na balkony i się śmiali. Nawet przechodnie pokładali się ze śmiechu. Kilka razy zabraliśmy z Lewisem znajomych, bo było to tak zabawne.

Owszem, dziecinne też, ale miałem wtedy tylko szesnaście czy siedemnaście lat.

Niektóre eskapady nie były aż tak niewinne. Miałem osobistą zasadę o nie-wkraczaniu na teren żadnej firmy telekomunikacyjnej, jakkolwiek kuszące

było uzyskanie faktycznego dostępu do systemów i być może przeczytanie jakichś instrukcji firmowych. Jak to jednak w życiu bywa, była to bardziej wskazówka niż nienaruszalna reguła.

Którejś nocy w 1981 roku, gdy miałem siedemnaście lat, spędzałem czas z kolegą phreakerem, Stevenem Rhoadesem. Postanowiliśmy wśliznąć się do głównej centrali Pacific Telephone Sunset-Gower w Hollywood. Ponieważ zajmowaliśmy się phreakingiem, *fizyczne* wkroczenie do budynku firmy telekomunikacyjnej było dla nas aktem najwyższego hakingu. Przy wejściu głównym trzeba było wstukać kod dostępu, który bez problemu zdobyliśmy za pomocą socjotechniki. I tak znaleźliśmy się w środku.

Mój Boże, cóż za ekscytacja! Dla nas był to najlepszy plac zabaw świata. Nie wiedzieliśmy, gdzie się skierować.

Niestety wpadliśmy na olbrzyma w uniformie ochroniarza, który krążył po budynku. Wyglądał jak bramkarz w klubie lub rozgrywający z NFL — bardzo onieśmielająco. Samym staniem bez ruchu z rękami przy ciele napędzał niezłego pietra. Jakimś trafem jednak im bardziej napięta była sytuacja, tym ja zdawałem się spokojniejszy.

Nie wyglądałem na tyle dojrzałe, by ująć za pełnoetatowego pracownika. Ale nie miałem za bardzo wyboru.

— Hej — powiedziałem. — Jak noc?

— W porządku — odparł. — Czy mogę zobaczyć wasze identyfikatory? Przetrzęsnałem kieszenie.

— Cholera, musiałem zostawić go w aucie. Zaraz przyniosę.

Nie dał się na to nabrać.

— Nie, obaj pójdziecie na górę ze mną — powiedział.

Posłuchaliśmy od razu.

Zaprowadził nas do centrali na dziewiątym piętrze, gdzie pracowali inni ludzie.

Serce mi tomotowało. Dyszałem ciężko.

Kilku technicznych podeszło, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przyszło mi wtedy do głowy, że moją jedyną opcją jest próba bycia szybszym od wynajętego ochroniarza, ale miałem świadomość, że szanse na ucieczkę mam raczej marne. Wyglądało na to, że od więzienia może mnie uratować już tylko socjotechnika.

Znałem wystarczająco dużo nazwisk i tytułów zawodowych w Pacific Telephone, żeby coś sfabrykować. — Pracuję w COSMOS w San Diego — wyjaśniłem. — Właśnie pokazywałem znajomemu, jak wygląda centrala główna. Może pan zadzwonić do mojej szefowej i mnie sprawdzić.

Podałem mu nazwisko menedżerki z COSMOS. Dzięki Bogu miałem dobrą pamięć, ale i tak wiedziałem, że nie wyglądamy na pracowników i że moja historia jest słaba.

Ochroniarz sprawdził nazwisko w firmowej książce telefonicznej, znalazł numer osoby, na którą wskazałem, i wykręcił go. *Biip, biip, biip*. Zaczął przeproszać za tak późny telefon i wyjaśniać sytuację. — Proszę dać mi z nią porozmawiać — powiedziałem.

Podał mi telefon. Przycisnąłem słuchawkę mocno do ucha, modląc się, by nie słyszał jej głosu, a następnie zaimprovizowałem coś w rodzaju: — Judy, naprawdę cię za to przeproszam. Oprowadzałem znajomego po centrali i zostawiłem identyfikator w samochodzie. Ochroniarz chciał sprawdzić, czy jestem z COSMOS w San Diego. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

Zamilkłem na kilka chwil, jakbym słuchał jej odpowiedzi. — Kto mówi? — wykrzykiwała do słuchawki. — Czy ja pana znam? Co pan tam robi?

Kontynuowałem: — I tak muszę tu być rano na zebraniu w sprawie nowego skryptu szkoleniowego. W poniedziałek o jedenastej mam spotkanie rewizyjne z Jimem, gdybyś chciała wpaść. Jakby co, widzimy się w czwartek na lunchu, prawda?

Kolejna pauza. Kobieta nadal przeklinała na czym świat stoi. — Jasne. Przeproszam, że zawracaliśmy ci głowę — powiedziałem.

I odłożyłem słuchawkę.

Ochroniarz i techniczni wymienili zdezorientowane spojrzenia. Myśleli, że oddam telefon ochroniarzowi, żeby potwierdziła, że wszystko jest w porządku. Widziałem dylemat na jego twarzy: czy ośmielić się zawracać jej głowę *drugą raz*? — Była strasznie wściekła, że obudziliśmy ją o drugiej trzydzieści nad ranem — powiedziałem. — Chciałem jeszcze pokazać znajomemu parę rzeczy. Zajmie nam to do dziesięciu minut.

Wyszedłem z centrali, a Rhodesem niemal deptał mi po piętach.

Oczywiście miałem ochotę rzucić się do ucieczki, ale wiedziałem, że nie mogę.

Dotarliśmy do windy. Stukałem nerwowo w przycisk parteru. Gdy w końcu opuściliśmy budynek, westchnąłem z ulgą. Było tak blisko, że wciąż trzymał nas strach, ale cieszyliśmy się, że jesteśmy na zewnątrz.

Wiedziałem jednak, co się teraz działo. Ta pani wydzwaniała desperacko po znajomych, żeby w środku nocy znaleźć kogoś, kto ma numer do ochroniarza w centrali Sunset-Gower.

Wsiedliśmy do samochodu. Ze zgaszonymi światłami odjechałem jedną przecznicę dalej i zaparkowałem. Stamtąd obserwowaliśmy wejście do budynku.

Jakieś dziesięć minut później postawny ochroniarz wybiegł na zewnątrz i rozglądał się gorączkowo, chociaż dobrze wiedział, że już nas nie ma. Oczywiście był w błędzie.


Poczekaliśmy, aż wróci do środka, po czym odjechałem. Zapaliłem światła dopiero za pierwszym skrzyżowaniem.

To było zbyt niebezpieczne. Gdyby zadzwonił na policję, oskarżono by nas o bezprawne wejście lub, co gorsza, włamanie do budynku. Razem ze Steve'em trafilibyśmy przed sąd dla nieletnich.

Nie miałem zamiaru w najbliższym czasie powtarzać tego wyczynu, ale z zapalem szukałem czegoś innego — równie wielkiego — co byłoby wyzwaniem dla mojej pomysłowości.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

W latach 90., kiedy komputery i internet wyglądały i działały nieco inaczej niż dziś, Kevin Mitnick był niezwykle utalentowanym hakerem. Trudno zliczyć systemy komputerowe i pozornie doskonałe zabezpieczenia, które z łatwością — i z finezją — pokonał. Niezależnie od wysiłków i determinacji FBI bardzo długo wyprzedzał agentów federalnych o krok. Szybko stał się jednym z najbardziej poszukiwanych przestępców tamtych czasów, choć nigdy niczego nie ukradł ani nikogo nie zabił. Gdy został w końcu ujęty i uwięziony, wspierali go liczni fani ze Stanów Zjednoczonych i z różnych stron świata.

Ta książka jest autobiografią najślynniejszego hakerka na świecie i jednocześnie niezwykle pasjonującą opowieścią, porywającą i wciągającą niczym najlepszy film sensacyjny — pełną zwrotów akcji, zawitych intryg i wyrafinowanych rozgrywek. Opowiedziana tu historia jest prawdziwa — przedstawia człowieka, który zbuntował się przeciwko systemowi i postanowił go złamać. Mówi o bezwzględności władzy, która posunie się do każdego podstępu i podłości, aby dopiąć swego i schwytać tego, kto okazał się niepokorny i nieposłuszny.

Już za chwilę razem z Kevinem Mitnickiem włamiesz się na pilnie strzeżone serwery i znajdziesz się w centrum podstępnej intrygi FBI. Przestępca, buntownik czy rewolucjonista — przeczytaj i przekonaj się, kim jest najślynniejszy haker świata!

Najślybszym ogniem zawsze jest człowiek!

 Helion	Sprawdź nasze szkolenia!	KOD KORZYŚCI Sięgnij po więcej!	
 helion.pl	 SZKOLENIA AKADEMIA IT & BUSINESS	ISBN 978-83-283-9240-3 	9 788328 392403
INFORMATYKA W NAJLEPSZYM WYDANIU		Cena: 59,90 zł	